

Przy siedmiogwiazdkowej „Metaxie” przedstawił sekrety swoich metod pracy w Atenach, Kastorii i Pireusie. Wszędzie największą zaporą była mentalność zawodników. Z indywidualistów, przyzwyczajonych do piłkarskiej „sztuki dla sztuki”, z reguły ze szkodą dla nich samych, musiał tworzyć zespół zdolny do zwycięstw. Mocny kondycyjnie i zdyscyplinowany taktycznie. Potrzebna tu była wyrozumiałość i cierpliwość. Niełatwo przecież zmienić psychikę typowych południowców, wychowanych w klimacie, w którym znacznie łatwiej o lenistwo, długie wylegiwanie się w cieniu niż o ciężką pracę. Efektami tej pracy trzeba było ich przekonać, że to właściwe rozwiązanie. Powoli obie strony zaczęły wychodzić sobie na przeciw. Połączyły ich sukcesy.

Dla takiej właśnie filozofii trenerskiej, nie popularnych tu metod szkolenia, a także do partnerskich stosunków z zawodnikami, trzeba było pozyskać również kibiców i media. W kraju, w pracy z reprezentacją Polski, Górskiemu w pełni się to udało, natomiast w klubach – już nie. O sukces w Gwardii było trudno, nie ta klasa graczy, ale w Legii – tak na początku lat sześćdziesiątych, jak i dwadzieścia lat później – kłopotów z wywalczeniem mistrzostwo Polski być nie powinno. A jednak los trenerowi nie sprzyjał. Drugie podejście Górskiego do pracy w Legii przydarzyło się akurat w okresie stanu wojennego. Ograniczony był teraz dostęp do „nocnych rozkoszy”. Godzina milicyjna i alkohol na kartki, to mniej powodów do gubienia formy. W tej sytuacji legionieści dość długo kroczyli od zwycięstwa do zwycięstwa. Jednak – starym zwyczajem – u schyłku sezonu znowu przegrywali najważniejsze mecze.

Najemni piłkarze z Łazienkowskiej większość spotkań traktowali „wybiórczo”, bez najmniejszych skrępowań w „prezencie” oddawali punkty rywalom będącym w „potrzebie”. Nie były to li tylko gesty przyjaźni i miłosierdzia, ponoć kryły się za tym spore pieniądze. Górskiemu w Legii nie powiodło się również w rozgrywkach o Puchar Zdobywców Pucharów. Jesienią 1981 roku w dwóch

pierwszych rundach legioniści w miarę łatwo wyeliminowali Valerengen Oslo (2:2 i 4:1) i FC Lausanne (2:1 i 1:1), ale w ćwierćfinale już nie dali rady Dynamu Tibilisi. Piłkarsko gorsi nie byli, ale – tak to wtedy tłumaczono – zabrakło im wsparcia ze strony kibiców. Podła atmosfera. W Warszawie znaczną część widzów zajmowali „sympatycy” futbolu w polowych mundurach. Stadionowi WP też dały się we znaki rygory stanu wojennego.

Fama o niezwykłym powodzeniu Kazimierza najpierw w Panathinaikosie Ateny, a zaraz potem w Kastorii i Olympiakosie Pireus, dotarła oczywiście do Polski. Ale też z kraju do Grecji, przeto i do Górskiego, dochodziły informacje o coraz ostrzejszych formach walki politycznej. Sierpniowy zryw gdańskich stoczniowców zapowiadał gruntowną zmianę dotychczasowego oblicza Polski. Aby nie być na uboczu tych wydarzeń, Górski zdecydował się na powrót do Warszawy. Zresztą, codzienne życie w Atenach i Pireusie nie jawiło się w tak ciepłych barwach, jak osiągnięcia w piłce nożnej. Pełno było dramatów, zdarzały się też tragedie.

EMPIRYZM KAZIMIERZA GÓRSKIEGO

Podczas meczu Olympiakos – AEK Ateny (6:0!) w trzynastym sektorze zginęło 26 osób, a 50 rannych trafiło do szpitala. W Salonikach po spotkaniu PAOK – Olympiakos na zawał serca zmarł węgierski trener Lorant niegdyś prawy obrońca ze „złotej jedenastki” Gustava Sebesa. Wiosną 1981 roku państwo Maria i Kazimierz Górscy przeżyli też trzęsienie ziemi. Ludzi ogarnęła panika, zaczęli opuszczać domy, na ulicach bezładnie krążyły samochody, tańczyły raz w jedną, raz w drugą stronę. Górscy uwięzieni. Byli wtedy w Atenach na wspólnym rodzinnym obiedzie. Jak dotrzeć do domu w Pireusie? Wszystkie ulice nieprzejezdne. Marysia i Kazio decydują się na powrót do dzielnicy Pasalimani per

pedes. Późnym wieczorem zakończyli tę mozolną wędrówkę. Wszyscy zdrowi i cali, ale... Górski miał powody do przemyśleń: – *Czy rzeczywiście los tak chciał? Czy nie za często przeżywa się tu takie dramaty?*

– **Marysiu, wracamy do kraju!... Mam już tego dość, czuję się zmęczony...**

Prezes Olympiakosu Stavros Dajfas był wyraźnie zaskoczony. Usiłował odwieść przyjaciela od tego zamiaru:

– Gdzie się pan tak spieszy?! Nie słucha pan radia!... Nie ogląda telewizji!... Przecież w Polsce nie ma co jeść! Tam lada moment wkroczą Sowieci!...

– W moim kraju – spokojnie odpowiedział Górski – żyje ponad trzydzieści pięć milionów obywateli. Jakoś sobie radzą... Ja też przeżyję...

– Dobrze to rozumiem – zmienił ton Dajfas. – Życzę powodzenia i równie owocnej pracy w Polsce... Gdyby jednak los znowu rzucił pana do Grecji, to w Olympiakosie zawsze będzie pan moim gościem, przyjacielem...

Państwo Górscy w kraju. Kazio znowu w niezłym nastroju, zadowolony, że wolne chwile mógł teraz wykorzystywać na grę w brydża w towarzystwie Alka Kozłowskiego z Greenpoint spod Nowego Jorku, stałego gościa hotelu „Victoria” w Warszawie, magistra inżyniera Henryka Loski, Stefana Grzegorzycy, moim i Pawła Rusina. Sporo czasu, nierzadko aż do godziny milicyjnej, spędzaliśmy też w „zielonym barku” przy niejednej lampce „harcerzyka” i kminkówce ulubionym trunku gościa z USA. Wtedy właśnie Górski najchętniej zwierzał się ze swej kolejnej, niezbyt udanej pracy w Legii. Nie przegrał z nią kolejnych 18 spotkań, ale po mistrzostwo Polski znowu sięgnął Widzew. To drużyna z charakterem...

– Właśnie takiego twardego charakteru – ubolewał Kazio – brakowało legionistom. Miałem w zespole dziesięciu reprezentantów Polski: Kazimierskiego, Janasa, Milewskiego, Janusza Barana, Buncola, Majewskiego, Miłoszewicza, Okońskiego, Adamczyka i Kustę. No i co z tego? Rzadko grali na miarę swoich

możliwości. Taki piłkarski kameleon. Raz błyszczeli jak nikt inny w lidze, by za chwilę partolić jak piłkarski debiutant.

– Dlaczego? – pytali nieorientowani, głównie wysoko postawieni przełożeni w generalskich mundurach.

Górski cierpliwie odpowiadał. Jednak gdzieś tam w głębi duszy, szlag go trafiał. Znał ten ból od lat, jeszcze z czasów, gdy sam był zawodnikiem.

– Legia – to specyficzny klub, dla trenerów i... zawodników. Można się tu wybić, ale łatwo też złamać sobie kark. Na początku każdy chce się pokazać z dobrej strony, ale gdy zbliża się koniec służby wojskowej, myśli głównie o tym, gdzie i za jakie pieniądze się sprzedać. To mają w głowie, a nie grę na Łazienkowskiej. Armia zaciężna od wielu lat, mniej lub bardziej świadomie, odgrywała w Legii rolę „konja trojańskiego”. Z reguły głównie z tego powodu na finiszu rozgrywek mistrzostwo Polski uciekało sprzed nosa. Zniecierpliwieni działacze proponowali więc – wzorem klubów cywilnych – chwytami poniżej pasa.

– Panie Górski, trzeba było na wszelki wypadek – tak, jak to robią inni – kupić jeden lub dwa mecze, to może wtedy tytuł byłby nasz?...

– Sęk jednak w tym, że „najemni legionieści” woleli sprzedawać mecze, niż kupować, zaś Górski zwykł liczyć tylko na siebie i swoją pracę.

– To co, mistrzostwo można kupić?!... Szwindle, matactwa, kombinacje?!... Fuszer, a nie dobry fachowiec, ma być na świeczniku?...

Trenera, który był bożyszczem w Grecji, denerwowały te parszywe myśli wysoko postawionych działaczy. Przeciętny kibic nie zaprzętał sobie tym głowy. U schyłku lata 1982, wśród boiskowej zieleni nad rzeką Jagodzianką, swoje czterdzieste urodziny, choć działo się to w czasie stanu wojennego, w dobrej atmosferze świętował tamtejszy LKS „Mazur” Karczew. Kazimierz Górski wyniesiony do rangi honorowego obywatela tego miasta był jednym z najznamienitszych gości tego jubileuszu. Towarzyszyłem trenerowi w tej niecodziennej uroczysto-

ści. W pewnym momencie jeden z sympatyków „Mazura” podszedł do mówni-
cy, chwycił w obie ręce mikrofon i ku ogólnemu zaskoczeniu, wypalił:

– Mówił pan tu, trenerze, że niedawno wrócił z Grecji. Czy to normalne? Teraz niemal wszyscy ludzie starają się uciec z Polski, a pan właśnie przyjechał z zagranicy. Dlaczego?...

– Ciekawe pytanie kolego, ciekawe... Wydaje mi się, że łatwo na nie odpowiedzieć. Przede wszystkim ja jestem Górski, a nie wszyscy... Zresztą, widocznie los tak chciał... Poza tym, a to dla mnie równie ważne, gdybym został w Grecji, nie mógłbym być na tej dzisiejszej uroczystości. Miecio Trzaskowski współzałożyciel „Mazura” zapewne poczułby się zawiedziony. A to taki sympatyczny i dobry kumpel.

Burzą oklasków skwitowano to dowcipne i niewątpliwie szczere wyznanie. Ktoś inny, równie wścibski, zapytał:

– A dlaczego nie był pan na mistrzostwach świata w Hiszpanii? Emerycy mają teraz dużo czasu...

– W PZPN-ie uznano mnie za osobę niepożądaną. Podobno deprymująco wpłynąłbym na trenera Piechniczka i zawodników. Ja, niby wielka sława, człowiek sukcesu, a oni w większości niedowartościowani, ludzie stłamszeni przez stan wojenny. Sądzieli, że będę im przeszkadzał... No to zostałem w domu...

Trener Górski już zaczął się przyzwyczajać do statusu emeryta i nieskrępowanego życia towarzyskiego, gdy nagle – widać znowu „los tak chciał” – na początku 1983 roku wrócił do Grecji. Nie na wyuczasy i w odwiedziny do córki Urszuli lecz do pracy w klubie, na boisku. Kazio nadal w grze! I znowu w Olympiakosie Pireus. Ta druga przygoda Górskiego „z Dziećmi Pireusu” trwała tylko jeden sezon, ale prezes Stavros Dajfas – w dniu rozstania – gotów był wystawić Polakowi pomnik. Przecież Olympiakos znowu był mistrzem, a jego trener wciąż na ustach całej Grecji. Wraciał do Warszawy w pełni sławy i chwały.

Znowu hotel „Victoria”, a w nim „zielony barek”, brydż, a wokół stolika wianuszek ciekawskich kibiców i wiernych przyjaciół. Tu też Górski wyróżniał się okazjonalnym dowcipem i humorem. Nawet Andrzej Strejlau zazwyczaj poważny i pryncypialny wyraźnie się wówczas rozluźniał i spontanicznie wyrzucał z siebie:

To cały Kazio! Złoty człowiek... Zadziwia oryginalnymi toastami i celnymi ripostami na uwagi z boku. Gdy ktoś, chcąc go wzruszyć, może i pocieszyć, intonuje walczyka „Tylko we Lwowie”... wtedy Górski natychmiast śpiewem odpowiada, że „Warszawa da się lubić...”

Przypominam sobie, jak w podobnych sytuacjach reagował Jacek Gmoch. Wcielał się wówczas w postać „warszawskiego taksówkarza”:

– Jestem grzeczny dla grzecznych, lecz gdy ktoś niestosownie zachowa się, małą wiązkę posyłam i już po chwili przyjaciel wie, że... Nie ma dla mnie cwaniaków... Ja naturę mam taką, że nie bawię się w układane słówka...

Górski, Gmoch, Grecja... Kazio ma tam córkę, zięcia i wnuka, Jacek uważa ten kraj za drugą swoją ojczyznę. Obaj do dziś cieszą się tam dużą sympatią. W Polsce różnie to bywało. Górski zawsze był u nas niemalże noszony na rękach, natomiast Gmoch częściej pod wozem niż na wozie. Kiedy Jacek przejął po Kaziu reprezentację, wtedy przyjaźnie podali sobie ręce. Partnerzy. Ale w opinii społecznej zawsze wyżej notowany był Kazio. W Grecji dokonania obu są niemal równe, także popularność, sympatia i uznanie wysokie. W roku 1983 Gmoch jednak dopiero wspinał się tam na szczyty sławy, natomiast Górski miał jej już całe tony.

Status emeryta nie miał dla szefów ateńskich klubów najmniejszego znaczenia. Kazio jeszcze nie zdążył dobrze skonsumować kolejnego sukcesu w Olimpiakosie, a już otrzymał propozycję pracy w Ethnikosie Pireus. To mu schlebiało. Wciąż ma w Grecji dobrą markę. Podjął wyzwania. Wprawdzie biednawy Ethni-

kos, to nie bogaty Olympiakos, ale w Pireusie też cieszy się dość dużą sympatią. Trener zamieszkał w dzielnicy Kastella, w pobliżu klubu i stadionu Karaiskaki. Tam właśnie rozgrywał (gościnnie) swoje mecze „bezdomny” Ethnikos. Prezes klubu Murkakos był w Atenach znaną osobistością: pracował w greckiej telewizji, był miłośnikiem muzyki, pisywał wiersze i teksty do popularnych piosenek.

Rówieśnik Górskiego, łatwo znajdowali wspólny język. Nawet gdy Ethnikos popadł w kłopoty finansowe, Kazio zaufał prezesowi. Bez obaw wyjechał na wakacje do Warszawy, a tuż przed sezonem 1984/1985 sprowadził do Polski również swoją nową drużynę. Grecy z niezłej strony pokazali się w meczach z Polonią i Polonezem Warszawa, a także w przedsezonowym turnieju I-ligowców w Skarżysku Kamiennej. Tam właśnie trener reprezentacji Antoni Piechniczek spotkał się z Górskim. Tu też im towarzyszyłem. Zналиśmy już rywali Polski w kolejnych eliminacjach mistrzostw świata 1986. Albania, Belgia, Grecja... Napomknęliśmy, że w grudniu najprawdopodobniej pojawimy się w Atenach na meczu Grecja – Belgia. Kazio wyraźnie się ożywił:

Przyjeżdżajcie, zapraszam do siebie! To przed samymi świętami Bożego Narodzenia... Mieszkanie duże, miejsca sporo, akurat wtedy zamierza mnie odwiedzić brat Janek. Będzie też siostrzenica Elżbieta. Nudzić się nie będziemy...

Eliminacje przed mistrzostwami świata w Meksyku rozpoczęła reprezentacja zwycięskim meczem właśnie z Grecją w Zabrzu. Ale zanim to nastąpiło nasza drużyna, już wolna od dolegliwości stanu wojennego, teraz dość często podróżowała po świecie. Już w styczniu 1984 roku wybrała się na dość ryzykowną wyprawę do Indii. Przez 16 miesięcy tylko przegrywała. Czy teraz w pełni zimy zdoła się pozbierać po zeszłorocznych niepowodzeniach? Na szczęście rywale w turnieju o Puchar Jawaharlara Nehru (Nehru Gold Cup) nie byli najmocniejsi. W Kalkucie (znam to z relacji Piechniczka, Hajdasa i Małkiewicza) na stadionach Eden Gardens i Salt Lake rywalizowaliśmy z: Indiami, Chińską

Republiką Ludową, Argentyną oraz dwiema drużynami klubowymi z Węgier i Rumunii. Poszło dobrze, nie przegraliśmy żadnego meczu i zajęliśmy w tym turnieju pierwsze miejsce. Miła niespodzianka, bo w ekipie zabrakło między innymi: Władysława Żmudy, Zbigniewa Bońka, Kazimierza Przybysia, Marka Ostrowskiego, Ryszarda Komornickiego oraz Dariusza Kubickiego i Dariusza Wdowczyka. Zarobiono na tym wyjeździe kilkaset tysięcy hinduskich rupii, ale spodziewanych fruktów walutowych nie osiągnięto. To nie były amerykańskie dolary...

Początek tworzenia zespołu na Mundial w Meksyku był więc udany. Obiecująco zaprezentowali się zwłaszcza, poza zawsze zasługującymi na pochwałę Józefem Młynarczykiem, Andrzejem Buncolem, Włodzimierzem Smolarkiem i Dariuszem Dziekanowskim, reprezentanci Lecha Poznań: Krzysztof Pawlak, Józef Adamiec, Czesław Jakołcewicz i Mirosław Okoński. To była wtedy „wielka czwórka Kolejorza”, mistrza z 1983 i 1984 roku oraz zdobywcy Pucharu Polski z 1982 i 1984. Wojciech Łazarek i jego najbliżsi współpracownicy, a wśród nich dobrze znany w całym kraju Hilary Nowak, działacz PZPN i Wielkopolskiego Związku Piłki Nożnej, dali Poznaniowi drużynę, o jakiej kilka lat wcześniej można było tylko pomarzyć. Był to „wielki” Lech również na arenie międzynarodowej?

Niestety, tylko na nasz wewnętrzny użytek. Lech nigdy nie osiągnął w Europie wyników na miarę Górnika Zabrze, Legii Warszawa i Widzewa Łódź. W Pucharze Mistrzów „Kolejorz” już w pierwszej rundzie dwukrotnie przegrał z Liverpooliem 0:1 i 0:4, z Athletic Bilbao u siebie wygrał 2:0, ale w Hiszpanii całkowicie to zaprzepaścił (0:4). Natomiast w Pucharze Zdobywców Pucharów w sezonie 1982/1983, po dwóch zwycięstwach nad słabym Vestmannaeyjar z Islandii (1:0 i 3:0), dwukrotnie przegrał z przeciętnym Aberdeen FC ze Szkocji 1:2 i 0:1.

Jednak trener Antoni Piechniczek miał zaufanie do odpowiedzialnie grających poznaniaków. W połowie kwietnia 1984 roku w pożegnalnym meczu Grzegorza Lato z reprezentacją z drużyny Lecha wystąpili w Warszawie: Pawlak, Adamiec i Okoński, poza tym w kręgu zainteresowań selekcjonera byli Jarosław Araszkiwicz i Czesław Jakołcewicz. Rozstanie Lato z zespołem narodowym szczególnie od strony sportowej było smutne i mało obiecujące. Nieoficjalny rewanż z Belgią za piękne 3:0 na Camp Nou w Barcelonie przegraliśmy na Stadionie Wojska Polskiego 0:1.

Drużyna nie rokowała większych nadziei. To był zlepek piłkarzy pozbawionych cech ofensywnych. Czy nie ma w kraju lepszych zawodników? Nasza liga jest kiepska, ale nawet w niej łatwo dostrzec piłkarzy o wyższych umiejętnościach i większych ambicjach. Konkurencji młodszych i sprawniejszych kandydatów już nie wytrzymują: Adamiec, Ciołek, Kensy, Pękala i Miłoszewicz. Zbliża się czas: Jacka Kazimierskiego, Jerzego Wijasa, Jana Urbana, Marka Ostrowskiego, Jana Furtoka, a także Dariusza Kubickiego i Dariusza Wdowczyka. Tylko ich imiennik Dziekanowski coraz częściej zawodził. Klimat mu nie odpowiadał? Grzegorz Lato też się dziwił:

Ja nigdy nie schodziłem poniżej przeciętnego poziomu. Grałem może nie tak elegancko jak „Dziekan”, ale zawsze skutecznie i – co równie ważne – długo. Moimi partnerami w reprezentacji byli: Lubański, Deyna, Gadocha, Boniek i... właśnie Dziekanowski. Z każdym z nich czułem się pewnie, a wielkiego futbolu uczyłem się praktycznie do końca długiej kariery. Gwiazda Darka za szybko gaśnie...

Ujemnie odbijało się to na wynikach reprezentacji. W Zabrze, w wygranym meczu z Grecją, Darek strzelił dwie bramki, ale już w następnym z Albanią w Mielcu ani jednej. Nad Wisłoką zawiodła zresztą cała drużyna, stąd tylko remis 2:2 z archaicznie grającą Albanią. (Z techniki tylko dobre przyjęcie piłki i „mała

gra”). W PZPN nie chciano jednak spojrzeć prawdzie w oczy. Za utratę punktu obwiniano szwajcarskiego sędziego Bruno Gallera. Tymczasem remis w Mielcu był wiernym odbiciem sprawności naszej ligi. Przeważały w niej „jesienne róże”, a więc zawodnicy już zmęczeni, bez uśmiechu i radości z gry. Zmienił się nawet Zbigniew Boniek, stał się przesądny, koledzy poszli za jego głosem i przed meczem odmówili Gieniowi Warmińskiemu pozwania do zdjęcia.

... Nie było fotografowania przed spotkaniem z Grecją w Zabrze i przyszło zwycięstwo, nie będzie teraz w Mielcu, bo z Albanią też chcemy wygrać.

Wiara w siły nadprzyrodzone, szczęśliwe gwiazdy i pechowych fotoreporterów... Przemilczano fakt, że w roku 1984 reprezentacja miała gry po dziurki w nosie. Zaczynała w styczniu w Indiach, a skończyła w grudniu we Włoszech. Do Pescary na towarzyski mecz z Włochami Piechniczek już nie zabrał Dziekanowskiego. Nie ufał mu czy chciał dać odpocząć? A może szukał lepszych rozwiązań? W Pescarze nie było też Józefa Młynarczyka i Włodzimierza Smolaraka. Z mundialowego składu zagrali tam tylko: Żmuda, Matysik i Boniek oraz dwaj „żelazni” rezerwowi – Wójcicki i Pałasz. Mistrz świata dość łatwo wygrał więc 2:0. Sezon się skończył, a my nadal nie mieliśmy drużyny na miarę ambicji i potrzeb medalisty mistrzostw świata.

Z Pescary do Rzymu reprezentacja wracała autokarem, natomiast nieliczna grupa dziennikarzy – pociągiem. Ponownie spotkaliśmy się dopiero na lotnisku w Rzymie. Piłkarze najchętniej opowiadali tam o audiencji u papieża. Znał wynik meczu z Włochami, był wyrozumiały, życzył powodzenia przed Mundialem w Meksyku i pozdrowił... Cracovię. Mediolańska „La Gazetta dello Sport” chwaliła swój zespół, a trener Enzo Bearzot niemalże z przyzwyczajenia uznał naszą reprezentację za „groźną i niewygodną”. W samolocie usiadłem obok trenera Piechniczka. Podbudowały go pochlebstwa włoskich dziennikarzy. Teraz próbowaliśmy „w cztery oczy” ocenić miniony sezon.

– Czy spełniły się twoje oczekiwania?

– Niezupełnie. Liczyłem na cztery punkty w meczach z Grecją i Albanią.

– Kibice twierdzą, że masz szczególny dar tłumaczenia niepowodzeń.

– Nie jestem dyplomatą, mówię to, co myślę i dobrze wiem.

– W meczach z Grecją i Albanią popełniłeś jednak błędy kadrowe. Po co grał Buncol? Po co Wójcicki i przemęczony Żmuda?..

– A dlaczego nie zapytasz, dlaczego postawiłem na Budę? To ja ci powiem. Jeśli już tak naprawdę mam się przyznać do jakiegoś błędu, to rzeczywiście pluję sobie w brodę, że w Mielcu od początku nie zagrał Komornicki. Właśnie za Budę! A dlaczego zdecydowałem się na Buncola, Żmudę i Wójcickiego? Podczas treningów i w grach kontrolnych prezentowali się lepiej niż potencjalni konkurenci.

– Jak zatem widzisz dzisiejszą reprezentację Polski?

– Jest obiecująca, znacznie lepsza niż w połowie 1981 roku, kiedy przystępowaliśmy do pierwszego meczu z NRD.

– Dostrzegasz młodych zawodników?

– Jest ich sporo. W bramce obok Jacka Kazimierskiego i Eugeniusza Cebra ta widzę Henryka Bolestę i Janusza Jojkę. Mocno depczą Józkowi po piętach... W obronie coraz lepiej radzą sobie Damian Łukasik i Kazimierz Sokołowski, a w pomocy Zbigniew Kaczmarek i Jan Urban. Napad? Tu najbliższe szanse jest Jarosław Araszkiewicz. To uzasadnia mój optymizm. Sądzę też, że w porę wykurują się Smolarek i Karaś, a Buncol i Dziekanowski zaczną wreszcie grać na miarę swoich możliwości. Czy to mało?...

– Nadal będziesz korzystał z usług zawodników grających teraz w ligach zagranicznych?

– W grę wchodzi tu praktycznie tylko Boniek, Żmuda i ewentualnie Młynarczyk. W reprezentacji potrzebni są tacy zawodnicy, którzy nie będą kalkulować, tylko walczyć do upadłego, tacy jak Waldek Matysik!

Wyraźnie nadchodziła „nowa fala” uzdolnionych piłkarzy. Selekjoner nie dostrzegł w niej napastnika Jana Furtoka z GKS Katowice, który zdaniem „Piłki Nożnej” był prawdziwym „odkryciem roku”. Wśród starej gwardii – nic nowego, znowu najlepszy Włodzimierz Smolarek z Widzewa, a trenerem roku 1984 – po raz drugi z kolei – został Wojciech Łazarek z Lecha Poznań. „Smolar” już dość długo leczył kontuzję, to go męczyło, ale „widzewski charakter” nie pozwalał na utyskiwanie. Z uśmiechem odpowiadał na wszystkie pytania:

Czy pojedziemy do Meksyku? – Oczywiście! I ja też... W najgorszym wypadku na własny koszt. Tak widzę swoją przyszłość i reprezentacji. Tak łatwiej żyć...

ANTEK W KABINIE PILOTA

Optymizm Smolaraka wzmocnił duchowo selektonera, ożywił też nadzieje kibiców. A tu jeszcze los wyraźnie nam sprzyjał. Belgia straciła punkty z Grecją i Albanią. Wreszcie ktoś za nas wyciąga kasztany z ognia. Przed meczem Grecja – Belgia zapytałem Piechniczka:

– Węszysz niespodziankę w Atenach?

– Tak i wiele sobie po tym meczu obiecuję... Szkoda, że nie będę w Tiranie... Albania może sprawić ogromną sensację.

– Nie chcesz tego zobaczyć na własne oczy?

– Bariery polityczne...

Ostatecznie nasz trener pojawił się tylko w Atenach. Ja też tam byłem. Potyczkę Grecja – Belgia oglądałem więc w towarzystwie dwóch selektonerów – legendarnego Kazimierza Górskiego i jego godnego następcy Antoniego Piechniczka. Obaj mają w dorobku medale mistrzostw świata. Antek marzy o kolejnym w Meksyku. Bezbramkowy remis w meczu Grecja – Belgia wprowadził go w anielski humor:

– Teraz jestem pewien, że w Tiranie wygra Albania. W naszej grupie znacznie się ładna zabawa. Belgowie są słabi. Już Grecy mogli ich pogonić!...

Grecy zagrali normalnie, na swoim poziomie... Ani lepiej, ani gorzej niż potrafią – ocenił Górski. – Gdyby lepiej strzelali, mogliby nawet wygrać to spotkanie. Sądzisz więc Antoś, że Albańczycy będą lepiej strzelać?

Po meczu wybraliśmy się na konferencję prasową. Przedstawiciela Albanii nie było. To wciąż kraj za „żelazną kurtyną”?!... Znamienne były wypowiedzi trenerów. „Papa” Guy Thys z Belgii wyznał szczerze: – *„Jestem zadowolony z wyniku, ale nie z postawy drużyny”*. Na to Grek Miltos Papapostoleu: – *„Jestem zadowolony z postawy drużyny, ale nie z wyniku”*. Nasz Piechniczek nisko skłonił się gospodarzom: – *„Dziękuję Grecji, że zabrała Belgii jeden punkt”*. Nazajutrz ton prasy ateńskiej był jednak minorowy: – *„Żegnaj Meksyku!”* Dziennik „Ethnos” (Naród) 22 grudnia, po wygranej Albanii z Belgią 2:0. Zmienił jednak zdanie: – *„Wreszcie mamy dobrą drużynę. W tej grupie jeszcze wszystko może się zdarzyć”*. Górski, Piechniczek i ja nie mieliśmy już wątpliwości: – **Do Meksyku pojedą „biało-czerwoni”**.

Piechniczek wracał do kraju w dobrym humorze. Nie tylko dlatego, że Belgia pogubiła punkty. To prawdziwy „szczęściarz Antoni!”. Nasze bilety na powrót do Warszawy nie były o’key. Czas przedświąteczny, miejsc w samolocie brak. Dla mnie szlaban, ale dla trenera reprezentacji i to nie jest żadną przeszkodą. Przedstawia się kapitanowi rejsu i leci... w kabinie pilota. Był w domu przed gwiazdką, ja zostałem w Atenach. Podobny los spotkał goszczących wtedy pod Akropollem złotych medalistów olimpijskich – Tadeusza Ślusarskiego i Władysława Kozakiewicza. Opłatkami dzielili się na lotnisku. W Warszawie wszyscy trzej będziemy dopiero rano w pierwszy dzień świąt.

Państwo Maria i Kazimierz Górscy przytulili pechowca. Wigilia w Pireusie! Wykorzystam rezerwowe nakrycie. Wieczernię przygotowuje Marysia,

a ja z Kaziem niemal od rana do zmierzchu hulam po mieście. Tu kawka, tam mały koniaczek, bilard, gra w kości, nawet kilka partii karioki. W centrum Pireusu króluje ogromna szopka. Wszystko naturalnej wielkości: stajenka, ludzie, zwierzęta. Przenosimy się nad morze. Co krok to restauracja. Właściciele witają Górskiego z otwartymi ramionami, goszczą po królewsku. Kazio nie przepada za rybami i winem, zdrowie przepija więc whisky z lodem. Owoce morza kuszą, ale zachowujemy wstrzemięźliwość, wszak uroczysta kolacja wigilijna dopiero przed nami.

Grecy tak jak my, uważają Boże Narodzenie za święto szczególne, rodzinne. U Górskich jest cała familia również od strony zięcia Jorgo Kafirisa, męża Urszuli. Jest też zaprzyjaźniony z Kaziem sąsiad Tadeusz Czad, niegdyś lotnik z dywizjonu 303. Na zewnątrz aura helleńska, ciepło, nie ma śniegu, ale w mieszkaniu sceneria typowo gwiazdkowa. Żywe, zielone drzewko, lampki, świecidełka i srebrno-złote łańcuchy, a pod choinką oczywiście prezenty. Dla mnie pięcigwiazdkowa „Metaxa”. Na stole wigilijnym trzy barwne wazy z zupami i barszczem czerwonym z uszkami, kapusta z grzybami oraz trzy rodzaje pierogów: ruskie, z kapustą i grzybami. Śledziki i ryby...

– Normalnie jak w Polsce – podkreśla zadowolona Marysia.

Kwaszona kapusta i grzyby... Dla Greków to egzotyka. Senior rodu Kafirisów, dziadek Kostas wprost demonstracyjnie delektuje się pierogami. To specjalność Marysi. Trunki grecko-polskie, spod Akropolu „Metaxa”, anyżkowe Quzo i młode wino, zwane przez Ateńczyków „rycyną”. Znad Wisły nasza „Wyborowa”. Pili wszyscy i śpiewali. Najpierw kolędy, głównie polskie i znaną na całym świecie „Cichą noc”, a potem pieśni patriotyczne, ludowe, biesiadne. Jan i Kazimierz Górscy, dobrze obeznani z repertuarem Szczepka i Tońka, wrócili do rodzinnego Lwowa, a Kazio solo zaśpiewał też swoje ulubione tango „Polesia czar”. Kuzynka Ela przypomniała melodyjne piosenki chóru harcerskiego „Ga-

węda” i „Mazowska”. Dziadek Kostas zaintonował „Dzieci Pireusu”, lotnik z dywizjonu 303 zanucił „My Bonnie is over the ocean”. Jorgo – ojciec „małego Polaka” Kostaska odtańczył Zorbę, a babciom Marysi i Ninie ze szczęścia łyzy zaczęły spływać po policzkach.

Sąsiedzi pootwierali okna, na ulicy zatrzymywali się przechodnie i też śpiewali. Przed odjazdem na lotnisko „wigilię w Pireusie” zakończyło chóralne „Góralu, czy ci nie żal?”... Tego Grecy już nie zrozumieli. Przed odlotem do Warszawy „strzemiennego” Kazio i ja w barze na lotnisku wypiliśmy w towarzystwie – też już wyraźnie zmęczonych – tyczkarzy Ślusarskiego i Kozakiewicza. Tam u nas, w Warszawie ludzie już wracali z pasterki, a my dopiero teraz żegnaliśmy Ateny. Wigilia z najbliższą rodziną dopiero za kilka godzin, razem ze świątecznym śniadaniem. Z nadmiaru wrażeń zamieniliśmy na Okęciu torby z prezentami. Tyczkarze odszukali jednak Darka Górskiego, syna Kazia. Darek odwiedził mnie zaraz po śniadaniu i torby trafiły pod właściwy adres.

Zimowe wyprawy reprezentacji do krajów pozaeuropejskich powoli stawały się nie tyle potrzebą, co koniecznością. Niezbyt wysoko – z różnych względów, także poza sportowych – ceniono teraz naszych piłkarzy na starym kontynencie, więc poszukiwano kontaktów z krajami „trzeciego świata”. Niedawno w styczniu wojażowano po Indiach, a na początku lutego 1985 roku wybrano się na tournée do Kolumbii i Meksyku. Znowu skład okrojony: tradycyjnie już zabrakło Bońka, Młynarczyka i Żmudy grających w klubach zagranicznych oraz Jerzego Wijasa. Był powołany, ale na lotnisku się nie pojawił. Odebrano mu paszport. Kto i dlaczego? Domysłów było sporo, o spisek posądzano „wszystkich świętych” ówczesnej władzy, choć sam piłkarz za to swoje niepowodzenie obwinał głównie macierzysty klub – Widzew. W Łodzi usiłowano „bronić” zawodnika przed pójściem do wojska. Dla dobrze zorientowanych miało to oznaczać niedopuszczenie do wzmocnienia „wrażeń” Legii Warszawa. Smakiem ob-

lizowały się jednak oba kluby, bo Wijas wyładował ostatecznie w karnej jednostce na Pomorzu Zachodnim.

Reprezentacja bez Wijasa. W tej sytuacji szybciej niż oczekiwano do kadry trafili Jan Urban z Zagłębia Sosnowiec i Damian Łukasik z Lecha Poznań. Powiodło się tylko Urbanowi, udanie zadebiutował w meczu Polska – Bułgaria (2:2) w... meksykańskim Queretano. Natomiast Łukasik prawdziwe męki Tantalą przeżywał w sromotnie przegranym spotkaniu z Meksykiem 0:5 (!). Specjalnym wysłannikiem naszej „Piłki Nożnej” na te lutowe mecze za oceanem był red. Stefan Szczepłek. Użył sobie w felietonie „**Pozdrowienia od Osesa**” na organizatorach tych czterech potyczek z: Meksykiem, Bułgarią i dwukrotnie z Kolumbią.

...„Umowa z Cadillo Osesem została zawarta w Warszawie. Śmieszne lub – jak kto woli – upokarzające są warunki finansowe. Około pięciu tysięcy dolarów za mecz nie bierze teraz żadna szanująca się europejska drużyna klubowa. Kwoty są kilkakrotnie większe. Trzecia reprezentacja świata powinna dyktować warunki, a znalazła się w roli ubogiego krewnego. Staliśmy się z tego powodu i ze względu na wynik meczu pośmiewiskiem w Meksyku”. Zatwierdzałem ten tekst do druku ze złością i z dużym wstydem, ale też z pewną dozą satysfakcji. Zawsze bowiem byliśmy w „Piłce Nożnej” przeciwko takim nieprześlądanym podróżom, mało wartościowym o tej porze roku pod względem sportowym, w tym wypadku upokarzającym również finansowo. Nawiązując do celnych uwag Stefana w redakcyjnym komentarzu skreśliłem na ten temat jeszcze kilka równie krytycznych zdań:

...Nie rozegrano wcześniej zapowiadanych meczów z Argentyną i Urugwajem. Nie mogła tego zrównoważyć i nie zrównoważyła, zresztą przegrana potyczka z Kolumbią w Cali. Dostaliśmy więc łupnia z dwóch stron – od rywali na boisku i menedżera przy zielonym stoliku. Ale trzeba zgodzić się z poglądem, że za tę karkołomną wyprawę do Ameryki Łacińskiej winę ponosi nie tylko jej

organizator. Duży udział mają tu również ludzie z PZPN, znowu kupowali kota w worku i znowu tylko marzyli o wyrwaniu się – bo tu zimno, mróz – z rodzinnego gniazda. To nie może przejść bez echa, to nie może być uznane za kolejny wypadek przy pracy, bo prywatą zalatuje tu w sposób jednoznaczny. Żebra czy styl został tu podniesiony do rangi cnoty... I dalej:

...Byliśmy, jesteście i zawsze będziemy za silną reprezentacją. Jest nam potrzebna szczególnie teraz, gdy w decydującą fazę wchodzi rozgrywki eliminacyjne o mistrzostwo świata. Ale kadra, zwłaszcza w okresie przygotowawczym do sezonu, nie może być ciałem sztucznym, samym w sobie, oderwanym od klubów ligowych. Reprezentacja najlepiej ma grać w maju, a czołowe kluby muszą być w formie już na początku marca. Należało to zgrać i o tym pamiętać. Reprezentacja jest najważniejsza! Ale czy dla każdego?

Już w domu, w Warszawie zapytałem Antoniego Piechniczka czy prawdą jest – a taką wersję przedstawił w „Tele-Golu” prominentny działacz PZPN – że wyjazd „z marszu” do tak odległych i egzotycznych krajów, był twoim pomysłem?

– Zaprzeczam! Nie miałem na to żadnego wpływu. Decydowały względy polityczne. Jednak ta przykra wpadka sportowa – obciąża głównie moje konto.

Taka była przygrywka do przedmundialowego sezonu. Zła, daleka od publicznie głoszonych zapewnień centrali o jedności i zgodności poczynań klubów i reprezentacji. PZPN myślał teraz tylko o sobie i utrzymaniu na stołkach niekompetentnych i skompromitowanych działaczy. Nasz tygodnik, piórami praktycznie każdego dziennikarza, za ten cały bałagan między Mundialami w Hiszpanii i Meksyku obwiniał zarząd PZPN-u i jego prezydium. Bulwersował sposób i styl kierowania Związkiem. Powszechnie krytykowany działacze lata 1981 – 1985 ocenili jednak pozytywnie, wbrew faktom, przypisując „dużą aktywność wszystkim członkom Zarządu”. Takie piłkarskie pop swoje, a czort swoje...

Delegaci nie dali się zwieść pozorom, stary zarząd przepadł w wyborach z kretesem. Ster PZPN-u przejął Edward Brzostowski, wiceminister rolnictwa i gospodarki żywnościowej. Od wielu lat mówiono, że ma mentalność „zwy-
cięzcy i twórcy”, cieszącego się w swoim środowisku dobrą opinią. Dba o zało-
gę w kombinacie i klub Igloopol Dębica. Jest energiczny, pomysłowy, ma no-
woczesne spojrzenie na gospodarkę i rolę sportu w życiu społecznym. Samo-
dzielnie podejmuje większość decyzji i jest konsekwentny w realizacji zadań.
W tamtych czasach ludzie o takiej osobowości i takim widzeniu rzeczywisto-
ści nie wszędzie byli mile widziani. Na Walnym Zgromadzeniu Sprawozdaw-
czo-Wyborczym jednak doceniono tę odrębność Brzostowskiego, prezesem
PZPN wybrano przez aklamację, a więc w pełni zaufano. Zamarzyło się dele-
gatom piłkarskie Eldorado.

Klimat wokół PZPN nieco się poprawił. Z nadzieją oczekiwano na trzy
przewidziane w maju mecze o mundialowe punkty z Belgią, Grecją i Albanią.
Start miał jednak prezes – wiceminister nieudany, w Brukseli dość łatwo wygra-
li gospodarze. Piechniczek postawił na rutyniarzy. Zawiedli. Młodym nie za-
ufał. Uznał, że czas Jana Urbana, Ryszarda Tarasiewicza i Dariusza Dziekanow-
skiego jeszcze nie nadszedł. Zegrali dopiero z Grecją w Atenach i gruntownie
zmienili wizerunek drużyny, wygrali 4:1. Ton komentarzy ekspertów był bud-
jący. Kazimierz Górski, Jacek Gmoch i Andrzej Strelau, którzy pracowali wów-
czas w Grecji, zgodnie, orzekali: – **To był nokaut gospodarzy!**

AWIONETKĄ Z HEYSEL DO TIRANY

Na mecz z Albanią w Tiranie leciałem więc w dobrym nastroju. Podbudował
mnie Ryszard Koncewicz, który znał albański klimat i tamtejszy stadion: – „Ni-
czego się nie bać! Grać swoje, spokojnie i konsekwentnie. Albańczycy są do pokonania

nawet na własnym boisku... Pierwsi dokonali tego nasi młodzieżowcy, podopieczni Andrzeja Zientary. W miejscowości Berat, odległej od Tirany o 130 kilometrów, na stadionie usytuowanym dosłownie u podnóża gór, wygrali 2:1. Trudniejsza niż sam mecz, była nasza przeprawa „Pobiedą” z Tirany do Berat. Krajobraz niemalże bitewny, na mijanych przez nas polach – bunkry i schrony przeciwlotnicze, a co kilka kilometrów punkty kontrolne żandarmerii. Tłumaczono, że to dla naszego bezpieczeństwa, a my i tak wiedzieliśmy swoje. Taki to kraj ta Albania, tu wciąż obowiązywała „czujność rewolucyjna”. Wszak Polacy, to ustrojowi odszczepieńcy! A oni? Wierni komunistycznym przywódcom pognali gości z Polski na cmentarz i pokazali grób, dyktatora Envera Hodży. Czczą go jak bożka.

Wygraną Orłąt Albańczycy przyjęli z dezaprobatą. Grozili srogim rewanżem w meczu pierwszych reprezentacji. Dawali do zrozumienia: pokonaliśmy Belgię 2:0, a Polacy 0:2 przegrali w Brukseli. Damy więc wam tu popalić! Te pogrozki nieco temperowały nasz optymizm, obawy pogłębiał brak w ekipie Zbigniewa Bońka. Wieczorem 29 maja w przeddzień spotkania z Albanią, wystąpił w Brukseli w finałowym meczu Juventus – Liverpool o Klubowy Puchar Mistrzów Europy. Doszło tam do tragedii. Już nie pytanie czy Boniek zdąży dolecieć do Tirany cisnęło się na usta, ale czy jest zdrowy i cały.

Na stadionie Heysel zginęli wtedy ludzie. Kibice mordowali swoich bliźnich. Zezwierzęcenie ludzkiego gatunku. Tragedię w Brukseli oglądaliśmy na ekranie telewizyjnym w hotelu „Tirana”. Po koniaku Skanderbeg potwornie bolała głowa, ale nie zatarła grozy i widoku śmierci z Heysel. Co z Bońkiem? W jakim jest stanie – fizycznym i psychicznym? Przybył w porę, zdrów i cały, leciał prywatnym samolotem prezesa Juventus. W odstępie niespełna dwudziestu godzin po dużym wysiłku sportowym i trudach nocnej podróży na trasie Bruksela – Tirana wybiegł z drużyną na boisko, jako jej kapitan i... strzelił zwycięską bramkę. Tylko słowo bohater jest w stanie wiernie oddać prawdę tamtych dni. Boniek obalił

uczone wywody traktujące o fizyczno-psychicznych barierach sportowców. Twarda gra na Heysel i przeżyty tam dramat nie zburzyły niezwyklej osobowości Polaka.

Po udanych występach w Atenach i Tiranie reprezentacja pociągnęła za sobą ligowe kluby. Nabrały nieco większej pewności siebie. Mniej było teraz „murowania” bramek, nieco więcej goli, trochę lepszy poziom. Tylko Legia wyraźnie została w dołkach, a Widzew leczył rany po odejściu Dziekanowskiego i stracie Wijasa. Ożywienie trwało krótko. Po wakacjach znowu zaczęła kuleć reprezentacja, zawodziła liga. W meczu ze Szwecją w Malmoe, gdzie zabrakło Bońka, przeżyłem kolejne rozczarowanie. Wyraziłem to jednym słowem – „BEZSILNOŚĆ”! Źle zaprezentował się cały zespół. W akcjach indywidualnych ta bezradność była jeszcze bardziej widoczna. Kiepskie zwody, nieudane dryblingi, przegrywane pojedynki, strzały na wiat...

...Nie zamierzam niektórym naszym piłkarzom – pisałem – zarzucać skłonności do wygodnictwa w grze, ale chciałbym, żeby zrozumieli (a także ich klubowi trenerzy), iż próby prezentowania antyfutbolu (postawa defensywna i brak odwagi) wszędzie będą kwitowane – tak, jak w Malmoe – gwizdami... Miejscowy dziennik „Sydsvenska Dagbladet Snaelposton” ujął to bardziej elegancko: ...„Polacy nie za bardzo się w tym meczu przemęczali”... Co dalej? Sądzę, że pomysł rozegrania meczu ze Szwecją był dobry. To zupełnie inny przeciwnik niż Grecja i Albania. Wyższa jakość i inny sposób gry. Twardość i konsekwencja... Dobre wyszkolenie techniczne, inteligentni zawodnicy, słowem – europejska czołówka.

Te walory Szwedów potwierdzili goście „Malmoe Stadion”: Franz Beckenbauer z RFN, Sepp Piontek z Danii i Guy Thys z Belgii, a także nasz Wojciech Łazarek pracujący wtedy w Trelleborgu. Rozmawiałem z każdym z nich, wypiliśmy też niejedno piwo, a to wszystkim rozwiązało języki. Szwedzi zaskoczyli Polaków bardzo „agresywną strefą”.